№ 3. Wilno, dnia 8 lutego 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

WILNO.

Nad błękitną Wilją,
piękne Wilno leży,
w jasne niebo biją dzwony
z Katedralnej wieży.

Na Zamkowej Górze
Zielenią się klony,
Święty Kaźmierz błogosławi
cztery świata strony.

Usiadła wysoko
Rosa-żałobnica,
sosny jej welonem ciemnym
przesłoniły lica.

Naprzeciw Antokol
śmieje się wesoło.
Święty Piotr ma w zorze złote
uwieńczone czoło.

Święty Michał z Jerzym,
rycerze — wybrani,
strzegą Wilna, a króluje
Ostrobramska Pani.

Wanda z Niedziałkowskich
Dobaczewska.

Jak się bawiły dzieci w szkole Nr. 3 w Wilnie.

Raz do roku, szkoła powszechna nr. 3-ci, w Wilnie, urządza wielkie przedstawienie, z którego dochód przeznacza się zazwyczaj na książki i podręczniki dla uboższych uczniów tejże samej szkoły, lub na jakąś pomoc dla biednej dziatwy. W r. b. przedstawienie takie odbyło się w niedzielę w dniu 1-go lutego w Sali Miejskiej.

Gwiazdka otrzymała zaproszenie na tę piękną zabawę i pokrótce opowie o niej swym czytelnikom.

Punktualnie o 3 i pół popołudniu, więc o oznaczonej godzinie, rozpoczęło się przedstawienie, małym obrazkiem scenicznym p. t. *Gość.* Odegrały najstarsze uczenice szkoły, nic więc dziwnego nie było, że role swe umiały i grały bardzo dobrze. O wiele piękniejszym, ciekawszym dla młodej publiczności, był drugi obrazek, fantastyczna baśń: *„Zgubiona lalka“*. Mała Jadzia zgubiła, saneczkując, swą lalkę. Znalazły ją krasnoludki w lesie i zdumione są co to jest, ni to człowiek, ni to zwierz? Oczy ma, usta i nos i ręce i nogi, ale nie chodzi, ani gada. I bogini Zima i różne wróżki, pojąć tego nie mogą, co to za stworzenie, dopiero przychodzi pajac, wyjaśnia, że to lalka Jadzi, dobrej dziewczynki i niesie ją właścicielce. Obrazek ten bardzo się podobał licznie zebranym w sali dzieciom, zwłaszcza najmłodszym, które klaskały w rączki z zachwytu, nad krasnoludkami i różnemi wróżkami. A trzeba przyznać, że wszyscy i wyglądali bardzo ładnie i doskonale umieli swe role.

Potem były bardzo ładne deklamacje. Mówiły dzieci pięknie, z przejęciem i zrozumieniem śliczne poezje. Następnie spuszczono na chwilę zasłonę, a za jej podniesieniem zobaczyliśmy śliczny pochód ludności wszystkich ziem naszej ukochanej ojczyzny. Pierwsi szli Ślązak i Ślązaczka, za nimi zawsze parami, Wielkopolanie, Łowiczanie, Krakowiacy, Górale, Kujawiacy, Wileńczycy, Podlasiacy i inni. Każda para, była ubraną w stroje takie, jakie noszą w tej części Polski, którą



Wilno, Góra Zamkowa.

przedstawiała. Piękne to było, barwne i takie miłe, kochane. Śliczne stroje śląskie, kierezyje krakowskie, lubelskie sukmany i łowickie wełniaki, budziły zachwyt ogólny.

Po przejściu pochodem przez salę, dzielnice Polski, to jest dzieci, które je przedstawiały, wróciły na scenę, na której stała Polska, w białej sukni z koroną na głowie i otoczyły ją barwnym wieńcem dookoła. Obraz ten zachwycił wszystkich, i dorosłych i małych widzów. Żałowano tylko ogólnie, że tak krótko trwał.

Na zakończenie wystąpił chór dzieci szkolnych. Śpiewały ładnie bardzo piękne pieśni polskie — i znowu chciało się ich słuchać i słuchać bez końca. Wszystko jednak musi mieć swój koniec, więc się i piękne przedstawienie skończyło, zostawiając po sobie miłe wspomnienie i to przeświadczenie, że dzieci, które tak pięknie umieją występować w obrazkach scenicznych, tak ładnie i umiejętnie deklamują i śpiewają, muszą też i równie wzorowo uczyć się.



MARJA REUTTÓWNA.

Anielka.

(Ciąg dalszy).

I tak jeden za drugim, mijały Anielce dnie w Połukniu. Ani przypuszczała dziewczynka, że zdala od mamusi i rodzeństwa będzie jej tak dobrze, tak wesoło. Prócz pani Kalińskiej, w domu była tylko klucznica Kasia, zawsze śpiesząca się staruszka i pan Tomasz Szukszta, dawny żołnierz z roku 1863, a teraz rządca Połuknia.

„Biały dziadek“, jak go Anielka nazwała, i słusznie, pan Tomasz bowiem, choć się trzymał krzepko, nigdy nie pochyłał się i nie garbił, włosy i wąsy miał bialusieńkie, a chodził w białym kitlu i takimże słomianym kapeluszu.

Z „Białym dziadkiem“ zawarła Anielka zaraz wielką przyjaźń, jeździła z nim w pole, małą dwukołową biedką i o radości sama nawet powoziła. Zapoznał ją też pan Tomasz z źrebakami i cielętami i sama nie umiała powiedzieć, czy przyjemniej było iść do stajni, lub obory, czy z Kasią oglądać młode kurczątka, kaczęta i gęsięta.

Z temi ostatniemi lubiłaby się bardzo bawić, ale stare gęsie przestraszały ją. Pewnego dnia Kasia zajętą czemś była, a Anielka, widząc chodzące po murawie gąski, pobiegła ku nim i chciała złapać gąsiątko, lecz stare gęsie podniosły przeraźliwy wrzask, rozwinęły skrzydła, opadły dziewczynkę do koła.

— Ge, ge, ge — krzyczały, machając skrzydłami, wysuwając z dziobów długie języki i przeraźliwie sycząc.

Zlękła się Anielka, chciała uciekać, a te za nią gonią.

Uderzyła w głośny płacz i sama nie wiedziała co już ma robić, gdy wtem z za płotu wyskoczyła mała dziewczynka, śmiało rzuciła się na wrzeszczące stado gęsi i wszystkie rozpędziła. Poszły jak niepyszne, gęgając, zabrały małe i powróciły do swej sadzawki.

— Uszczypnęły ciebie — zapytała dziewczynka, podchodząc do Anielki.

— Nie — odrzekła zawstydzona — tylko zlękłam się bardzo.

— Nie ma się czego bać — odrzekła tamta — gęsi

co prawda czasem szczypią, ale jak staniesz spokojnie, to ci nic nie zrobią.

— Kiedy tak krzyczą i syczą—tłumaczyła się Anielka.

Wstydziła się tej małej, bosej dziewczynki, która ją obroniła. Była przecie mniejszą od niej. A za płotem stał chłopak, również tylko w koszuli szarej i spodeńkach, bosy, wyglądał przez dziurę i śmiał się.

— Czy to twój brat? — zapytała Anielka.

— Nie, to syn kowalowej, tej wdowy — odrzekła dziewczynka. — Mój brat już wielki, większy odemnie i siostrzyczkę mam, ale jeszcze mała, nie umie chodzić sama.

— A gdzie ty mieszkasz? — pytała Anielka.

— A ot tam w siole, ot w tej chacie, co to wokna ma wielkie — objaśniała dziewczynka. — A Józek to mieszka ot na tamtym końcu, jego chaty nie widać.

— A ty jak się nazywasz? — pytała Anielka.

— Salusia!—zawołał Józek z za płotu, uszczęśliwiony, że może się wtrącić do rozmowy.

I tak Anielka zdobyła sobie towarzystwo. Codziennie odtąd spotykali się ze sobą.

Salusia przynosiła jej kwiatki, wychodziły razem na łąkę, kopały i zasiewały w ogródku, bo babcia dała kawałeczek ziemi Anielce i ta tam sobie urządziła ogródek. Głównie pracowała Salusia, kopała, rozbijała grudki zeschłej ziemi, a Józek przywiózł nawet w taczce trochę nawozu. Nie poradziłyby jednak sobie dziewczynki, gdyby pan Tomasz w to się nie wmieszał.

c. d. n.

J. BOGUSZ.

Przygoda sarenki.

(Dokończenie).

— A to co? — spytał się głośno — ani chybi, jakaś biedota zmyliła drogę i ratunku woła.

I znowu wicher przyniósł mu żałosny bek sarny.

— Nie człowiecki to jęk — myślał — ni to kobieta, ni dziecko, nijak pojąć nie można. A może to złe wabi

mnie w las — przemknęło mu przez głowę — nie głupim, nie dam się nabrać.

I ruszył naprzód. Za chwilę jednak zatrzymał się. Znowu ten jęk żałosny i błagalny.

— Matko Boska Boruńska, ty coś mnie od kul bolszewickich strzegła, broń mnie od złego—zawołał głośno i zawrócił na polankę.

Chwila była ostatnia. Wyczerpana bólem i strachem Ryczka już i beczeć przestawała, gdy żołnierz dotarł do niej.

Widząc jakąś ciemną postać, leżącą na śniegu, zaświecił lampkę elektryczną, którą miał przy sobie i dojrzał sarnę.

— Aha, to tu taka panna jest — rozśmiał się i pochylił się nad leżącą Ryczka widząc nad sobą nieznaną sobie postać ludzką i dziwne światło, zmartwiała z przerażenia. Beczeć już nie miała sił, tylko z jej ślicznych, ciemnych oczu popłynęły łzy.

Piotrek był bardzo dobrym chłopakiem, serdecznie więc użalił się niedoli biednej sarenki.

— Cichaj, cichaj — mówił, gładząc jej ciemną główkę — zaraz cię wydobędę z tych sideł. — Łatwiej to jednak było powiedzieć, niż zrobić. Porządnie namęczył się, zanim uwolnił sarnę z żelaza. Ciemno było, wicher sypał mu śniegiem do oczu. Mróz obezwładniał ręce. Poradził w końcu jednak.

— No panno — rzekł zdejmując ostatni drut z nogi sarenki — jesteś wolna. Idź że sobie z Bogiem do lasu, a o Pietrku powiedź swoim, że niezgorszy to chłop. No ruszże się raz. — Sarna ani drgnęła.

Próbował ją podnieść, ustać na nogach nie mogła.

— No to i co będzie? — mruknął żołnierz. — Uwolniłem cię z sideł, a ty iść nie chcesz, ostawić cię tu nie mogę, bo albo zamarzniesz do rana, albo i wilk cię poźre.—W taką noc koło Gromnic, siła ich łazi. Ot wezmę cię na plecy i pomaszerujem, niedaleczko tu jest gajówka, to nas przenocujom.

I mówiąc to, zrzucił swój pusty plecak z ramion i zawiązał do niego sarenkę. Nie broniła się Z oczu jej tylko znowu popłynęły łzy. Serce zatrzepotało się w piersiach.

— Co on ze mną zrobi—przemknęło w małej główce.

Zarzucił Pietrek zawiniątko na plecy i z powrotem przebrał się z wielkim trudem do gościńca. Zawieja coraz to była większa i brał srogi mróz. Wyciągał chłopak nogi i szedł śpiesznie. Wiatr szczypał go za nos i uszy, sypał mu śniegiem w oczy, jakby się mszcząc za wydarcie sobie Ryczki, nie zważał na to. Było mu dziwnie wesoło i jak przedtem Ryczka, tak on teraz miał ochotę skakać po śniegu i śpiewać na cały głos. Uszedł tak z pół kilometra i aż krzyknął z radości, dojrzawszy wśród ciemnej nocy, słabe światełko.

— No, Najświętszej Pannie Boruńskiej niech będą dzięki — zawołał głośno — toć że gajówka Ignacego.

Skręcił w lewo i poszedł wprost na ów ognik.

Świeciło się jeszcze w gajówce, ale już wrota były zaparte i psy spuszczone. Poczuły obcego, a może i zwierzę leśne i z głośnem ujadaniem skoczyły do ogrodzenia.

Sarna zadygotała i gwałtownie rzucać się poczęła.

— Oho! Dobry znak — zawołał Pietrek — żyje moja panna — i z całej siły wołał — panie gajowy! hop hop! Otwórzcie tam.

Skrzypnęły drzwi gajówki i stary Ignacy z fuzją w ręku stanął na progu.

— To ja, Pietrek z Borun— wołał żołnierz — nie bójcie się, pannem znalazł w lesie, ledwo zipie, otwórzcie, ale wpierw psy zamknijcie.

Wybiegł i syn gajowego, zamknięto psy na kłódkę w oborze i wpuszczono Pietrka z jego panną.

Ryczka znowu zasłabła i gdy ją wydobyto z plecaka, osunęła się na śnieg.

— Zesłabła z bólu — rzekł gajowy — a bardziej jeszcze z przestrachu, trzeba ją w spokoju zostawić. Zaniesiemy ją do szopy,



za domem; poleży spokojnie, odpocznie i pójdzie szczęśliwie do swoich.

Jakoż tak zrobili. Pietrek ułożył sarnę na sianie, przykrył ją niem, a potem poszedł do chaty gajowego ogrzać się. Miał tu zanocować. Uradzili, że o świcie pójdą zajrzeć, czy przypadkiem kłusownik nie przyjdzie do sideł po zwierzynę.

— Jabym go w te sidła samego wsadził — mówił Pietrek — niechby tak ze trzy godziny poleżał na śniegu i wichrze, to by mu może odechciało się raz na zawsze męczyć biedne stworzenia. Nie człowiek to, lecz zbój zły.

— Macie rację — odparł gajowy — że żaden uczciwy człowiek, takich rzeczy nie robi. Ileż to każdej zimy biednych zajęcy i saren ginie w ten sposób.

— No to jak go złapiemy, to i wsadźmy w żelaza — zaśmiał się Pietrek.

Gajowy głową pokręcił.

— Nie — rzekł — tego nam robić nie wolno, sami ani sądu, ani kary stanowić nie możemy. To by też było bezprawiem, oddamy go w ręce sądu i niech go tam karzą.

Tamten już nic nie odrzekł, zmorzył go sen, usnął na ławie.

O świcie zbudził go Ignacy. Wyszli poza chałupę i Pietrek pobiegł zajrzeć do szopy. Ryczka stała tam rozglądając się dokoła ciekawie, widocznie i ona spała tak mocno, jak jej zbawca.

Ujrzawszy nadchodzącego człowieka, skoczyła z szopy i pognała w stronę lasu.

Pietrek z radością patrzał, jak sadziła po śniegu i za chwilę zginęła w dali.

— Ciekawym — mówił, idąc z gajowym — czy też ona zrozumiała, żem ją ocalił.

— Pewno, że zrozumiała — odparł gajowy — zwierzęta nieme są, ale że rozumieją nie mniej od ludzi, to w to wierzę. Odczują one i zło i dobro, które im człowiek robi. Tylko na nieszczęście, więcej się nacierpią niż ucieszą od ludzi — dodał.

KONIEC.